

Pani Bovary

PAN
MARIA ANTONI JULIUSZ SENARD
CZŁONEK IZBY ADWOKACKIEJ MIASTA PARYŻA,
BYŁY PRZEWODNICZĄCY ZGROMADZENIA NARODOWEGO
I MINISTER SPRAW WEWNĘTRZNYCH

Drogi i Znakomity Przyjacielu,
Racz pozwolić, bym przywołał Pańskie nazwisko tuż po tytule tej książki – nawet przed dedykacją – bo jej ukazanie się w druku jest głównie Pana zasługą. Za sprawą Pańskiej wspaniałej mowy obrończej dla mnie samego nabrała ona niespodziewanej wagi. Składałam więc oto wyrazy wdzięczności, która, choć wielka, nigdy nie dorówna Pańskiej wymowie i Pańskiemu oddaniu.

Gustave Flaubert

Paryż, 12 kwietnia 1857 r.

LUDWIKOWI BOUILHET

CZĘŚĆ PIERWSZA

1

Byliśmy w naszej sali, kiedy wszedł dyrektor, a za nim *nowy*, jeszcze nie w mundurku, i posługacz z dużym pulpitem. Śpiący się ocknęli i wszyscy wstaliśmy, niby to przerywając pracę.

Dyrektor posadził nas gestem; potem odwrócił się do repetytora:

– Panie Roger – rzekł półgłosem – polecam panu tego ucznia, zdał do piątej, jeśli popisie się pracowitością i sprawowaniem, przejdzie do *starszych*, zgodnie z wiekiem.

Schowany w kącie za drzwiami, tak że ledwośmy go widzieli, *nowy* był chłopcem ze wsi, mniej więcej piętnastoletnim i wyższym od nas wszystkich. Włosy miał równo obcięte nad czołem jak wiejski kantor, minę poważną i mocno zakłopotaną. Choć nie był szeroki w ramionach, zielona sukienna kurtka zapięta na czarne guziki chyba uwierała go pod pachami, a rozcięcia mankietów odsłaniały czerwone nadgarstki nienawykłe do rękawa. Z żółtawych spodni, podciągniętych wysoko na szelkach, sterczały łydki w niebieskich pończochach. Nosił ciężkie buty, źle wyczyszczone i podbite ćwiekami.

Rozpoczęło się przepowiadanie lekcji. Słuchał, nadstawiając uszu, uważnie jak na kazaniu, nie śmiać nawet założyć nogi na nogę ani po-deprzeć się łokciem, a kiedy o drugiej zabrzączał dzwonek, repetytor musiał go pouczyć, że ma stanąć z nami w szeregu.

Wchodząc do klasy, zawsze rzucaliśmy czapki na ziemię, żeby szybciej mieć wolne ręce; należało od progu cisnąć swoją pod ławkę, trafić nią w ścianę i wbić jak najwięcej kurzu – to był *szyk*.

Ale *nowy* nie zauważył naszego rytuału, a może nie śmiał nas naśladować, dość, że modlitwa już się skończyła, a on wciąż trzymał nakrycie głowy na kolanach. Była to czapa w stylu mieszanym, połączenie rogatywki, bermycy, chłopskiego kapelusza i kaszkietu z wydry ze szlafmycą, należała do żalosnych przedmiotów, których milcząca brzydota ma w sobie więcej

głębi niż oblicze kretyna. Jajowata, usztywniona fiszbinowym szkieletem, opasana była u dołu trzema kiskowatymi wałkami; wyżej, po czerwonym otoku, biegł rząd rombów, na przemian z aksamitu i zajęczej skórki; główkę stanowiło coś na kształt torby nakrytej bogato szamerowanym tekturowym wielokątem, z którego zwisał długi cieniutki sznurek zakończony nie tyle kutasem, co pęczkiem złotych nitek. Była nowa; daszek błyszczał.

– Wstań – nakazał profesor.

Wstał; czapka spadła. Klasa gruchnęła śmiechem.

Schylił się, by ją podnieść. Sąsiad wytrącił mu czapkę łokciem, podniósł ją znowu.

– Zostaw wreszcie ten kask – rzekł profesor, dowcipny z natury.

Uczniowie pokładali się ze śmiechu, biedak był tak speszony, że nie wiedział, co począć: trzymać czapkę w rękę, rzucić na ziemię, a może włożyć na głowę. Usiadł, kładąc ją na kolana.

– Wstań – powtórzył profesor – i powiedz, jak się nazywasz.

Nowy niezrozumiale wybełkotał nazwisko.

– Powtórz!

Wrzask całej klasy zagłuszył te same bełkotliwe sylaby.

– Głośniej! – krzyknął nauczyciel – głośniej!

Nowy, doprowadzony do ostateczności, otworzył przepastne usta i na całe gardło, jakby kogoś wołając, ryknął: „Karbowry”.

Odpowiedział mu przeraźliwy zgiełk, rósł piskliwym *crescendo* (wrzeszczeli, wyli, tupali, nawoływali: „Karbowy! Rybowy!”), a potem wybuchał już tylko pojedynczymi nutami i opornie przycichał, by na raz, niczym gasnąca petarda, odezwać się jeszcze wzdłuż którejś z ławek salwą stłumionego chichotu.

Wreszcie, pod gradem zadanych za karę ćwiczeń, klasa się z wolna ustatkowała i profesor zdołał uchwycić nazwisko Karola Bovary, kazał je sobie podyktować, przeliterować i powtórzyć, a następnie polecił nieborakowi sięść w osłej ławce u stóp katedry. Ten wstał, zawahał się i nie ruszył z miejsca.

– Czego szukasz? – spytał profesor.

– Czap... – odparł lękliwie *nowy*, wodząc dokoła niespokojnym wzrokiem.

– Wszyscy przepiszą po pięćset wierszy! – wściekły okrzyk, niczym *Quos ego*, powstrzymał następną burzę. – Uspokójcież się wreszcie! – ciągnął rozeźlony profesor, wycierając czoło wyjętą z biretu chustką. – A ty, *nowy*, dwadzieścia razy odmienisz mi pisemnie *ridiculus sum*.

I dodał już łagodniej:

– Przecież czapka się znajdzie; nikt ci jej nie ukradł!

Znów zapanował spokój. Głowy pochyliły się nad tekami, a *nowy* zachowywał się wzorowo przez całe dwie godziny, chociaż co jakiś czas na twarzy rozbryzgiwała mu się wystrzelona szpicem pióra przeżuta papierowa kulka. Wycierał się tylko dłonią i trwał w bezruchu ze spuszczonej oczyma.

Wieczorem, już w naszej sali, wyjął z pulpitu półrękawki, rozłożył swoje drobiazgi i starannie poliniował arkusz papieru. Widzieliśmy, że przykłada się do pracy i nie szczędząc trudu, każde słówko sprawdza w słowniku. Był pełen dobrych chęci i pewnie dlatego nie spadł o klasę niżej, bo chociaż znał nieźle regułki, miał niezbyt elegancki styl. Początków łaciny uczył się u proboszcza, rodzice z oszczędności zwlekali, jak mogli z oddaniem go do szkoły.

Ojciec, pan Karol Dionizy Bartłomiej Bovary, podchirurg pułkowy, zamieszany około roku 1812 w aferę z poborem rekruta i zmuszony porzucić służbę, wykorzystał swą aparycję, by w przelocie złowić sześćdziesiąt tysięcy franków posagu w osobie córki pończosznika, urzeczony jego figurą. Postawny, samochwał, głośno dzwoniący ostrogami, nosił baki sięgające wąsów, a na palcach pierścienie, ubierał się jaskrawo, miał wygląd zucha i błyszczał łatwym dowcipem niczym komiwojażer. Ożeniwszy się, żył parę lat na koszt żony, jadał dobrze, wstawał późno, kurzył wielką porcelanową fajkę, wysiadywał w kawiarniach, a do domu wracał dopiero po teatrze. Teść umarł, zostawiwszy niewiele; Bovary, oburzony, *zajął się przemysłem*, stracił część pieniędzy i przeniósł się na wieś *wyciskać grosz z ziemi*. A że na rolnictwie znał się nie lepiej niż na perkalu, że zajeżdżał konie, miast nimi orać, spijał cydr flaszками, zamiast sprzedawać go w beczkach, brał na stół co piękniejsze sztuki drobiu i sadłem swoich świń smarował myśliwskie buty, postanowił niebawem raz na zawsze skończyć z interesami.

W dużej wsi na normandzko-pikardzkim pograniczu udało mu się wynająć dom za dwieście franków rocznie, coś pośredniego między fermą a dworkiem; rozzałony i ponury, pełen pretensji do świata, osiadł tam w czterdziestym piątym roku życia, pomstując na niebo, zazdroszcząc innym, twierdząc, że nabrał wstrętu do ludzi i chce mieć wreszcie spokój.

Żona niegdyś za nim szalała, starała mu się przypodobać na tysiąc sposobów, ale to go właśnie od niej odstręczało. Za młodu wesoła, otwarta, serdeczna, z wiekiem (niczym cienkie wino skwaśniałe na ocet) zrobiła się zrzędna, krzykliwa, nerwowa. Cierpiała bowiem bardzo, zrazu bez słowa skargi, patrząc, jak mąż ugania się za każdą dziewczuchą w okolicy, a wieczorem wraca do domu przez tuzin spelunek, otępiały, cuchnący opilstwem. Później duma wzięła w niej górę. Zamilkła wtedy i odtąd tłumiła wściekłość z cichym stoicyzmem, w którym wytrwała do śmierci. Wciąż gdzieś biegała, coś załatwiała. Chodziła do adwokatów, do prezesa, pilnowała terminów płatności, wypraszała odroczenia; a w domu prasowała, szyła, prała, doglądała rzemieślników, płaciła rachunki, gdy tymczasem pan, obojętny na wszystko, odurzony opryskliwą sennością, z której się czasem otrząsał, by jej powiedzieć coś przykrego, siedział nieodmiennie z fajką przy kominku i poplukał w popiół.

Urodziła dziecko, ale musiała oddać je do mamki. Gdy malec wrócił do rodziców, rozpieszczano go niczym królewicza. Matka podtykała mu konfitury, ojciec pozwalał biegać boso i zgrywał filozofa, twierdząc, że właściwie mógłby chodzić nago jak młode u zwierząt. Na przekór matce wbił sobie w głowę ideał dziecka mężnego, zgodnie z którym chciał ukształtować Karola; domagał się dlań twardego, spartańskiego wychowania, żeby miał mocną konstytucję. Kazał mu sypiać w zimnym pokoju, uczył łykać rum i drwić z procesji. Ale chłopiec był z natury spokojny i ojcowskie starania szły na marne. Matka ciągle trzymała go przy sobie; wycinała figurki z tektury, opowiadała historyjki, rozmawiała z nim długimi monologami, pełnymi radosnej melancholii i szczebiotliwej czułości. Odcięta od świata, przelała na tę dziecięcą główkę wszystkie urażone i zawiedzione ambicje. Marzyła o wysokich stanowiskach, widziała już syna dorosłym, pięknym, dowcipnym, sędzią albo inżynierem. Nauczyła go czytać, a także śpiewać

trzy proste romanse przy jej starym fortepianie. Ale pan Bovary, który lekceważył literaturę, mówił, że *szkoda zachodu!* Czyż będzie ich kiedykolwiek stać na opłacenie mu szkół, kupno urzędu czy sklepu? Zresztą, *jak mężczyzna ma tupet, zawsze sobie poradzi.* Pani Bovary przygryzała wargi, a chłopak wałęsał się po okolicy.

Chodził za oraczami i ploszył wrony grudkami ziemi. Objadał z jeżyn krzaki na miedzach, pilnował z tyczką indyków, roztrząsał siano, biegał po lesie, a kiedy padał deszcz, grał w klasy w kościelnej kruchcie; w wielkie święta błagał zakrystiana, żeby mu dał podzwonić, lubił uwiesić się całym ciałem na grubym sznurze i czuć, jak rozkołysany dzwon unosi go do góry.

Toteż rósł jak młody dębczak. Nabrał kolorów i krzepy w dłoniach.

Gdy doszedł dwunastu lat, matka uparła się, by przygotować go do szkoły. Powierzono to proboszczowi. Lekcje były tak krótkie i nieregularne, że właściwie nie przynosiły pożytku. Ksiądz udzielał ich w wolnych chwilach, w zakrystii, na stojąco, pośpiesznie, między chrzcinią a pogrzebem; albo posyłał po ucznia, skończywszy *Anioł Pański*, jeśli nie musiał już wychodzić. Szli na górę do jego pokoju i siadali wygodnie; cmy i muszki latały wokół świecy. Było ciepło, chłopiec przysypiał, a dobrodziej, splótłszy ręce na brzuchu, drzemał, by wkrótce zachrapać przez otwarte usta. Czasem, wracając od chorego, któremu nosił wiatyk, dostrzegał w polu swawołącego Karola, przywoływał go zaraz i po kwadransie wymówek, korzystając z okazji, kazał mu odmieniać pod drzewem łacińskie czasowniki. Przerzywał im deszcz albo jakiś przechodzień. Ale i tak zawsze był z uczniem zadowolony, twierdził nawet, że *młody człowiek* ma świetną pamięć.

Karol nie mógł na tym poprzestać. Matka była stanowcza. Pan Bovary, zawstydzony, czy też zmęczony, uległ bez oporu, po czym odczekano rok, by chłopak zdążył przystąpić do pierwszej komunii.

Upłynęło jeszcze sześć miesięcy i Karola oddano wreszcie do gimnazjum w Rouen, dokąd ojciec zawiózł go osobiście pod koniec października, w porze jarmarku Świętego Romana.

Dziś żaden z nas nie mógłby już sobie niczego o nim przypomnieć. Temperament miał flegmatyczny, bawił się w czasie rekreacji, w sali odrabiał lekcje, w klasie słuchał, w sypialni sypiał twardo, a w refektarzu zjadał

z apetytem. Opiekun, kupiec żelazny, hurtownik z ulicy Ganterie, zabierał go raz w miesiącu, w niedzielę po zamknięciu sklepu, i wysyłał na spacer do portu, żeby sobie obejrzał statki, odprowadzał go na siódmą, przed kolacją. Zawsze we czwartek wieczorem pisał czerwonym atramentem długi list do matki i zaklejał trzema opłatkami. Potem wertował zeszyty do historii albo czytał poniewierający się po sali wyświechtany tom *Podróży Anacharsisa*. Na spacerach rozmawiał z posługaczem, który, jak on, był ze wsi.

Pracując mozolnie, utrzymywał się w grupie uczniów średnich; kiedyś dostał nawet pochwałę z przyrody. Po ukończeniu trzeciej klasy rodzice zabrali go z gimnazjum i oddali na studia medyczne, przekonani, że z maturą sam da sobie radę.

Matka wyszukała mu pokój na czwartym piętrze u znajomego farbiarza nad rzeczką Robec. Uzgodniła opłatę za wikt, nabyła meble, czyli stół i dwa krzesła, ściągnęła z domu stare łóżko z wiśniowego drzewa i dokupiła mały żelazny piecyk z zapasem drew, żeby biedaczkowi nie było zimno. Po tygodniu wyjechała, powtórzywszy sto razy, że ma się dobrze prowadzić, bo teraz zdany jest tylko na siebie.

Program wykładów, który odczytał z afisza, przyprowadził go o zawrót głowy: kurs anatomii, kurs patologii, fizjologii, farmakologii, chemii, botaniki, a do tego klinika i terapeutyka, nie licząc higieny i farmacji – te słowa o zagadkowej etymologii brzmiały jak inskrypcje na bramach świątyń pełnych uroczystego mroku.

Nic z tego nie rozumiał; na próżno wyęczał słuch, niczego nie pojmował. A przecież się starał, miał zeszyty w twardej oprawie, uczęszczał na wykłady, nie opuścił żadnego obchodu. Codziennie wypełniał swe skromne obowiązki jak koń z zasłoniętymi oczyma krążący bez przerwy w kieracie, nie wiedząc, co miele.

Żeby mógł przyszczędzić, matka co tydzień wysyłała mu dyliżansem kawałek pieczeni cielęcej, którą po powrocie z kliniki zjadała na śniadanie, postukując dla rozgrzewki butami w ścianę. Potem musiał biec na wykłady, do prosektorium, do szpitala i wracać do domu przez całe miasto. Wieczorem, po skąpej kolacji u gospodarza, szedł na górę do swego pokoju i znów brał się do pracy, wilgotne ubranie parowało na nim w ciepłe rozżarzonego piecyka.

W piękne letnie wieczory, kiedy nagrzane ulice pustoszeją, a służące grają przed bramą w wolanta, otwierał okno, opierał się na łokciach i patrzył. W dole, u stóp domów, wśród mostków i krat, żółcią, fioletem i błękitem płynęła woda, przemieniając ten kąt Rouen w ohydłą miniaturową Wenecję. Przykucnięci na brzegu robotnicy myli ręce. Na żerdziach wysuniętych z poddaszy suszyły się zwoje bawełny. A na wprost, nad dachami, rozciągało się wielkie, czyste niebo z czerwonym zachodzącym słońcem. Ach, jak tam musiało być teraz przyjemnie! Jaki chłodek w buczynie! I rozdymał nozdrza, by wdychać miłe wiejskie zapachy, które do niego nie dochodziły.

Schudł, wyciągnął się, jego twarz przybrała wyraz łagodnego cierpienia, co uczyniło ją prawie interesującą.

Naturalnym biegiem rzeczy, ulegając lenistwu, rezygnował po kolei ze wszystkich powziętych kiedyś postanowień. Pewnego dnia opuścił obchód, nazajutrz wykład i zasmakowawszy w próżniactwie, powoli przestał chodzić na zajęcia.

Bywał teraz w szynku, polubił domino. Przesiadywanie co wieczór w brudnym, tłoczonym pomieszczeniu i stukanie w marmurowy stolik baraniami kostkami w czarne kropki zdawało mu się niezbitym dowodem wolności i budziło w nim szacunek dla własnej osoby. Było jakby wtajemniczeniem w prawdziwy świat, zaczątkiem zakazanych rozkoszy; wchodząc, dotykał klamki z niemal zmysłową radością. Wyzwoliły się w nim liczne, krępowane dotąd upodobania; wyuczył się kupletów i za stołem śpiewał je towarzyszom, uwielbiał Bérangera, umiał robić poncz, poznał wreszcie miłość.

Dzięki takim przygotowaniom oblał z kretesem egzamin na felczera. A wieczorem miano czekać nań w domu, by fetować sukces!

Poszedł piechotą, zatrzymał się na skraju wsi, posłał po matkę i przyznał się do wszystkiego. Darowała mu, zrzuciła winę na niesprawiedliwość egzaminatorów i podniosła go trochę na duchu, obiecując ułagodzić ojca. Pan Bovary dopiero po pięciu latach poznał prawdę; zdążyła się zestarzeć, więc się z nią pogodził, zresztą nie dopuszczał do siebie myśli, że jego rodzony syn mógł okazać się durniem.

Karol zabrał się znów do pracy i nie spoczął, aż przygotował cały program egzaminu, wykuwszy na pamięć komplet pytań. Zdał z nie

najgorszym wynikiem. Co za piękny dzień dla matki! Wydała uroczysty obiad.

Gdzie też mógłby otworzyć praktykę? W Tostes. Był tam tylko jeden, stary już lekarz. Pani Bovary od dawna czyhała na jego śmierć i zanim pocziwiec zdążył wyciągnąć nogi, Karol ulokował się naprzeciwko w charakterze następcy.

Ale wychować syna, wykształcić go na felczera i umieścić w Tostes to jeszcze nie było wszystko – brakowało mu żony. Znalazła kandydatkę, wdowę po komorniku z Dieppe; miała czterdzieści pięć lat i tysiąc dwieście franków renty.

Brzydka, sucha jak szczapa, z wykwitami na twarzy, pani Dubuc nie narzekała na brak konkurentów. Aby dopiąć celu, mama Bovary musiała ich wyrugować, z wielką zręcznością przecięła nawet intrygi pewnego popieranego przez księży kielbaśnika.

Karol sądził, że w małżeństwie będzie mu się lepiej żyło, liczył na więcej wolnego czasu, na swobodę w rozporządzaniu sobą i pieniędzmi. Tymczasem w domu rządziła żona: dyktowała, co mąż ma mówić, a czego nie mówić przy ludziach, kazała pościć w piątki, decydowała, jak ma się ubrać, i zmuszała do nagabywania pacjentów o zaległe honoraria. Otwierała jego listy, kontrolowała, co robi, i podsłuchiwała przez ścianę, gdy w gabinecie była kobieta.

Co rano żądała filiżanki czekolady i tysiąca innych względów. Skarżyła się nieustannie na nerwy, na piersi, na wapory. Odgłos kroków przyprawiał ją o cierpienia; kiedy się oddalały – zostawiano ją na pastwę samotności, kiedy zbliżały – sprawdzano, czy umarła. Wieczorem, ledwie Karol pojawił się w domu, wysuwała spod kołdry długie, wysuszone ramiona, rzucała mu się na szyję, sadzała na brzegu łóżka i zaczynała mówić o swoich smutkach: bardzo ją zaniedbywał, z pewnością kochał inną! Przepowiadano jej zresztą, że będzie nieszczęśliwa; w końcu prosiła go o jakiś syrop na wzmocnienie i trochę więcej czułości.